

PSY SIĘ NIE MYLĄ

Sherlock Holmes długo siedział schylony nad mikroskopem. Wreszcie wyprostował się i spojrzał triumfalnie dokoła.

— To klej — rzekł — na pewno klej. Rzuć, proszę, okiem na te rozproszone drobiny na szkle podstawowym.

Pochyliłem się nad okulem i dostosowałem obiektyw do mego wzroku.

— Te włoski to nitki z wełnianej ręcznie wyrobianej tkaniny. Ta szara masa o nieregularnych konturach to kurz. Po lewej stronie widać nabłonkowe łuski. A te brązowe grudki w środku to niewątpliwie klej.

— Wierzę ci na słowo — odpowiedziałem z uśmiechem, — Czy cokolwiek od tego zależy?

— To bardzo udane doświadczenie. Pamiętasz może to zajście w St Pancras? Obok zabitego policjanta znaleziono czapkę. Oskarżony twierdzi, że to nie jest jego czapka, ale on jest z zawodu ramiarzem, wobec czego ma często do czynienia z klejem.

— Czy podjąłeś się tego śledztwa?

— Nie, natomiast mój przyjaciel Merrivale ze Scotland Yardu zasięgnął mojej rady w tej sprawie. Od czasu gdy nakryłem fałszerza monet, znalazłszy w szwach jego rękawów drobniutkie opiłki miedzi i cynku, zaczęli rozumieć znaczenie mikroskopu. — Holmes spojrzał z niecierpliwością na zegarek,

— Miał się do mnie zgłosić nowy klient, ale się spóźnia. A propos, czy znasz się nieco na wyścigach?

— I jak jeszcze! Ta znajomość kosztuje mnie około połowy mojej inwalidzkiej renty.

— W takim razie spełnisz dla mnie rolę „Podręcznego przewodnika po torach wyścigowych”. Co wiesz o sir Robercie Norbertonie? Czy znasz to nazwisko?

— Oczywiście. Mieszka w Shoscombe Old Place, a znam dobrze tę miejscowość, gdyż w okresie mojej służby wojskowej mieliśmy tam nasze letnie kwatery. Raz nawet niewiele brakowało, a Norberton znalazłby się w zasięgu twoich kompetencji.

— Jak się to stało?

— Na torze wyścigowym w Newmarket rzucił się z pejczem na Sama Brewera, znanego lichwiarza z Curzon Street, i o mało go nie zabił.

— Ha, to brzmi interesująco. Czy często sobie pozwala na takie wybryki?

— Cieszy się reputacją niebezpiecznego człowieka. On jest chyba najśmielszym, zawsze lecącym na złamanie karku jeźdźcem w Anglii. Parę lat temu był drugi w Grand National . Należy do ludzi, którzy urodzili się o jedno lub dwa pokolenia za późno. Czułby się doskonale w epoce Regenta . Bokser, atleta, namiętny jeździec i gracz na wyścigach, amator płci pięknej, a w ogóle osobnik o tak nieokiełznanym usposobieniu, że wątpię czy można go będzie jeszcze kiedykolwiek zaliczyć do zupełnie normalnych ludzi.

— Brawo, mój drogi, kapitalny szkic, już mi się zdaje, że go znam. A teraz co możesz mi powiedzieć o Shoscombe Old Place?

— Tyle tylko, że leży w środku parku o tej samej nazwie i że słynna stajnia wyścigowa Shoscombe i ośrodek trenowania koni tam właśnie się znajdują.

— Naczelnym trenerem jest John Mason. Nie powinno cię dziwić, że wiem o tym, gdyż oto jest list od niego.

Ale chciałbym się czegoś więcej dowiedzieć o Shoscombe. Trafiłem na bogate źródło informacji.

— Są jeszcze tak zwane spaniele z Shoscombe. Słyszysz się o nich na każdej psiej wystawie. To najbardziej arystokratyczna rasa w Anglii i przedmiot szczególnej dumy miejscowej dziedziczki.

— Masz na myśli żonę sir Roberta Norbertona?

— Sir Robert nigdy nie miał żony. Tym lepiej, sądząc po jego opinii i charakterze. On mieszka ze swą siostrą, wdową, lady Beatrice Falder.

— To znaczy, że sir Robert utrzymuje swą siostrę?

— Nie, nie. Posiadłość należała do jej zmarłego męża, sir Jamesa Faldera. Nic tam nie jest własnością Norbertona. Majątek jest zapisany wdowie w, dożywocie, a po jej śmierci przejdzie do brata jej męża. Zanim to nastąpi, ona pobiera czynsze.

— A braciszek Robert je wydaje?

— Wszystko zdaje się na to wskazywać. To nie lada gagatek i musi jej sprawiać niemało przykrości i kłopotów. Słyszałem jednak, że siostra jest do niego bardzo przywiązana. Ale co się stało w Shoscombe?

— To właśnie chciałbym wiedzieć. A oto jest ktoś, kto potrafi nam to zapewne wyjaśnić.

Drzwi się otwały i nasz goniec wprowadził wysokiego, gładko wygolonego mężczyznę o stanowczym, surowym wyrazie twarzy, jaki spotykamy wśród sprawujących władzę nad chłopcami lub końmi. Pan John Mason miał w swej pieczy niemało i jednych, i drugich i wyglądał na człowieka nie obawiającego się tego zadania. Złożył nam chłodny, opanowany ukłon i zasiadł we wskazanym mu przez Holmesa fotelu.

— Otrzymał pan mój list, panie Holmes?

— Tak, ale nic nie wynika z jego treści.

— Sprawa jest zbyt delikatnej natury, aby można ją było szczegółowo ująć na piśmie. A ponadto jest zbyt zawiła. Mogę to wyjaśnić tylko w bezpośredniej rozmowie.

— Jesteśmy do pańskiej dyspozycji.

— A więc, po pierwsze, mój pracodawca, sir Robert, zwariował.

Holmes podniósł brwi.

— Jestem detektywem — rzekł — a nie lekarzem. Ale dlaczego tak pan sądzi?

— Jeśli mężczyzna raz i drugi postępuje tak, jakby mu brakowało piątej klepki, to można to jakoś uzasadnić, ale jak wszystko, co robi, zakrawa na szaleństwo, to człowiek zaczyna się zastanawiać. Moim zdaniem Shoscombe Prince i najbliższe derby doprowadziły go do obłądu.

— Tak się nazywa koń, którego wystawiacie do tego wyścigu?

— Tak i jest to najlepszy koń w Anglii. Nikt tego nie może wiedzieć lepiej ode mnie. Będę całkiem szczery, gdyż wiem, że pan Sherlock Holmes jest dżentelmenem, na którego honorze mogę polegać, a więc nic z tego, co powiem, nie wyjdzie poza obręb tego pokoju. Sir Robert musi wygrać te derby. Siedzi w długach po uszy i to jest jego ostatnia szansa. Wszystko co mógł upłynnić lub pożyczyć, postawił na tego konia, i to na doskonałych warunkach. Bookmacherzy przyjmują, teraz zakłady czterdzieści do jednego przeciwko Shoscombe Prince, ale stosunek zakładów był sto do jednego, gdy sir Robert zaczął na niego stawiać.

— Jakże to jest możliwe, skoro to jest taki znakomity koń?

— Publiczność nie wie o tym. Sir Robert jest sprytniejszy od bookmacherów oraz ich zawodowych informatorów, a raczej

szpiegów. Na próbnym biegu występuje inny koń, po tym samym ogierze, co Shoscombe Prince. Prawie nie można ich odróżnić. Ale w pełnym galopie Shoscombe Prince pozostawia tamtego w tyle co najmniej o kilkadziesiąt długości. Sir Robert o niczym innym nie myśli, jak tylko o tym koniu i o derby. Całe jego życie od tego zależy. Aż do tego czasu uda mu się utrzymać lichwiarzy z daleka. Ale jeśli Shoscombe Prince zawiedzie... sir Robert jest ostatecznie wykończony.

— To jest gra o rozpaczliwie wysoką stawkę, ale nie widzę w tym nic, co by zasługiwało na miano obłędu.

— A jednak, po pierwsze: wystarczy na niego popatrzeć. On chyba nie sypia w nocy. Można go zastać w stajni o każdej porze. Oczywiście ma nieprzytomne. A do tego jeszcze dochodzi sposób traktowania swej siostry, lady Beatrice.

— A mianowicie?

— Zawsze byli w jak najlepszych ze sobą stosunkach. Oboje mają te same upodobania, a ona kochała konie nie mniej od niego. Codziennie o tej samej godzinie zwykła wyjeżdżać do nich w odwiedzinach, a nade wszystko kochała Shoscombe Prince'a. Strzygł uszami na dźwięk kół na żwirze i co rano biegł kłusem do powozu po swój kawałek cukru. Ale teraz wszystko się zmieniło.

— Dlaczego?

— Lady Beatrice jakby przestała interesować się końmi. Od tygodnia przejeżdża koło stajni i nawet nie wstąpi na dzień dobry.

— Pan sądzi, że się pokłócili?

— I jak jeszcze! Okropnie się pokłócili. Przecież inaczej nie oddałby ulubionego jej spaniela, którego kochała, jakby to było jej własne dziecko. Oddał go parę dni temu staremu

Barnesowi, temu, co ma oberżę „Pod Zielonym Smokiem” o trzy mile dalej, w Crendall.

— To istotnie dziwne.

— Oczywiście z jej słabym sercem i wodną puchliną nie mogła prowadzić podobnego trybu życia jak sir Robert, ale co wieczór spędzał dwie godziny w jej pokoju. I słusznie, bo była dla niego przyjacielem jakich mało. Ale i to się zmieniło.

Nawet już do niej nie podchodzi, A ona bardzo to bierze do serca, martwi się i... pije, panie Holmes, pije jak ryba!

— Czy piła przed poróżnieniem się z bratem?

— Owszem lubiła od czasu do czasu zaglądnąć do kieliszka, ale teraz, zdarzą się, że w ciągu jednego wieczora wypróżni całą butelkę. Wiem o tym, od Stephensa, starszego lokaja. Wszystko się zmieniło, panie, Holmes, i jest w tym coś bardzo paskudnego. Bo na przykład, co robi sir Robert w krypcie pod starym kościołem? I kto jest ten mężczyzna, z którym tam się spotyka?

Holmes zatarł dłonie.

— Słucham dalej z coraz większym zainteresowaniem.

— Starszy lokaj go widział idącego tam. O północy i w rzęsim deszczu. Więc następnej nocy zasiadłem w pobliżu domu i patrzę, aż tu sir Robert znowu wychodzi. Stephens i ja poszliśmy za nim z niemałym strachem, bo źle by się to dla nas skończyło, gdyby nas przyłapał. Straszny to człowiek, gdy puści w ruch pięści, i nikogo nie uszanuje. Więc baliśmy się podejść za blisko, ale wypatrywaliśmy dobrze, dokąd on idzie. Do krypty, gdzie jak wiadomo, straszy. I czekał tam na niego jakiś mężczyzna.

— Co to jest za krypta, w której straszy?

— W parku stoi stara, zrujnowana kaplica, tak stara, że nikt nie wie, kiedy ją zbudowano. A pod nią jest krypta i źle o niej

mówią w naszej okolicy. W dzień jest to wilgotne, ponure, trudno dostępne miejsce, a mało jest w naszym hrabstwie takich, co by się odważyli podejść tam bliżej w nocy. Ale sir Robert się nie bał. Nigdy w życiu niczego się nie bał. Ale co tam robił w nocy?

— Chwileczka! — rzekł Holmes. — Pan powiada, że był tam jakiś inny mężczyzna. Musiał to być któryś ze stajennych albo ktoś z domowników. Wystarczyłoby przecież go rozpoznać, a potem zapytać, po co tam chodzi.

— To nie jest nikt od nas. — Skąd pan wie o tym?

— Bo go widziałem. To było w drugą noc. Sir Robert przeszedł tuż koło nas, to jest Stephensa i mnie, a trzęśliśmy się ze strachu w krzakach jak króliki, bo tej nocy księżyc nieco przyświecał. Ale dosłyszeliśmy, jak ten drugi idzie za nim. Więc jak sir Robert poszedł dalej, wyleźliśmy z krzaków i niby to przechadzamy się w świetle księżyca. I tak natknęliśmy się jak gdyby nigdy nic, z niewinną miną, prosto na niego. „Dobry wieczór — powiadam — a wy kto jesteście?” Musiał nas nie słyszeć nadchodzących, bo spojrzał przez ramię z taką twarzą, jakby zobaczył samego diabła. I jak nie wrzaśnie, a potem jak nie ruszy z kopyta, tak szybko jak tylko mógł, w ciemności. A biegać to on umiał, znam się na tym. Natychmiast zniknął nam z oczu i nie słyszeliśmy więcej jego kroków, a kim lub czym był dotychczas, nie zdołaliśmy odkryć.

— Ale widział go pan wyraźnie w świetle księżyca?

— Tak i pod przysięgą poznam jego żółtą twarz, moim zdaniem, twarz nie byle rzezimieszka. Co on mógł mieć wspólnego z sir Robertem?

Holmes siedział czas jakiś zamyślony.

— Kto dotrzymuje towarzystwa lady Beatrice? — zapytał wreszcie.

— Panna służąca. Carrie Evans. Służy u niej od pięciu lat.

— I oczywiście jest jej bardzo oddana?

Pan Mason poruszył się niespokojnie w fotelu, wyraźnie zakłopotany.

— Oddana to ona jest — rzekł po dłuższej chwili — ale komu, wolę nie mówić.

— Ach tak! — rzekł Holmes.

— Nie mogę rozpuszczać plotek.

— Rozumiem doskonale, panie Mason. Sytuacja jest najzupełniej jasna. Z tego, co doktor Watson mówił mi o sir Robercie, żadna kobieta nie czuje się przy nim bezpieczna. Czy nie sądzi pan, że to właśnie doprowadziło do kłótni pomiędzy rodzeństwem?

— Ten skandal trwa już od dosyć dawna.

— Ale lady Falder mogła sobie z tego nie zdawać sprawy. Załóżmy, że ciągle odkryła prawdę i postanowiła się pozbyć tej służącej. Braciszek się na to nie zgadza. Schorowana kobieta, nie mogąca się samodzielnie poruszać, nie jest w stanie narzucić swej woli. Znienawidzona służąca jest wciąż przy niej. Stara lady przestaje rozmawiać z bratem i ze zgryzoty zaczyna zbyt często szukać pociechy w butelce. Sir Robert, chcąc jej dokuczyć, zabiera jej ulubionego psa. Czy to wszystko nie układa się w logiczną całość?

— Może i tak, ale niezupełnie.

— Właśnie! Układa się, ale niezupełnie. Czy może to mieć jakiś związek z nocną wizytą w starej krypcie? Nie widzę, jak by to mogło się łączyć.

— Ja też nie widzę. Ale jest jeszcze coś, co się także z tym nie łączy. Otóż sir Robert wykopał jakieś zwłoki.

Holmes wyprostował się gwałtownie w fotelu.

— Odkryliśmy to dopiero wczoraj, po moim liście do pana. Sir Robert pojechał wczoraj do Londynu, więc Stephens i ja zeszliśmy do krypty. Wszystko tam było w porządku z wyjątkiem tego, że w kącie leżały szczątki ludzkie.

— Zawiadomiliście policję?

Nasz gość uśmiechnął się ponuro.

— Nie sądzę, aby to mogło interesować policję. Tam była tylko zasuszona stara czaszka i parę kości sprzed może i tysiąca lat. Ale przedtem tam tego nie było, Mogę przysiąc, jak również. Stephens. Schowane to było w kącie i przykryte deską, a ten róg był zawsze przedtem pusty.

— Co z tym zrobiliście?

— Pozostawiliśmy na miejscu.

— Bardzo rozsądnie. Pan powiada, że sir Robert wyjechał wczoraj do Londynu. Czy powrócić?

— Spodziewamy się go z powrotem dzisiaj wieczorem.

— Kiedy sir Robert wydał psa swej siostry?

— Równo tydzień temu. Zwierzę ujadało przy ceglanym domku mieszczącym starą studnię, a tego rana sir Robert cierpiał na jeden ze swych napadów złego humoru. Pochwyił psa i myślałem, że go zabije. Ale potem oddał go Sandy Bainowi, dżokejowi, i kazał mu odprowadzić do starego Barnes'a, „Pod Zielonym Smokiem”, Powiedział, że już nigdy więcej nie chce u nas widzieć tego psa.

Holmes zapalił najstarszą i najobrzydliwszą ze swych fajek i długo milczał zamyślony głęboko.

— Nie bardzo rozumiem rzekł wreszcie — co pan chce, abym uczynił w tej sprawie, panie Mason. Czy nie mógłby pan tego dokładniej określić?

— Może pan to uzna za coś bardziej określonego, panie Holmes — odpowiedział nasz gość i wyciągnąwszy z kieszeni

kawałek papieru, rozwinął go ostrożnie i pokazał nam fragment zwęglonej kości.

Holmes zbadał ją starannie.

— Gdzie pan to znalazł?

— W piwnicy pod pokojem lady Beatrice znajduje się kocioł centralnego ogrzewania. Był nieczynny od pewnego czasu, ale sir Robert zaczął narzekać na zimno i kazał pod, nim napalić.

To należy do obowiązków Harveya, jednego z moich chłopców stajennych. Przyszedł do mnie dziś rano, przyniósł tę kość i powiedział mi, że znalazł ją w palenisku pod kotłem w czasie wygrzebywania popiołu. Bardzo był tym przejęty.

— Ja również — rzekł Holmes i zwrócił się do mnie. — Co możesz nam o tej kości powiedzieć?

Kość była spalona na węgiel, ale jej anatomiczna przynależność nie mogła budzić wątpliwości.

— To jest fragment górnej części ludzkiej kości goleniowej.

— Właśnie! — Holmes przybrał bardzo poważny wyraz twarzy. — Kiedy ten chłopak pali pod kotłem?

— Rozpala na wieczór i pozostawia w tym stanie.

— A zatem każdy może mieć tam dostęp w nocy?

— Tak.

— Czy można tam wejść z zewnątrz domu?

— Jedne drzwi prowadzą na zewnątrz, a drugie na schody wychodzące na korytarz, przy którym znajduje się pokój lady Beatrice.

— Jesteśmy na głębokiej wodzie, panie Mason, głębokiej i mętnej. Pan powiada, że sir Roberta nie było w domu wczoraj wieczorem?

— Nie, nie było.

— A zatem ktokolwiek spalił tę kość, to nie mógł być on.

— To prawda.

— Jak się nazywa ta oberża, o której pan wspominał?

— „Pod Zielonym Smokiem”.

— Czy w tej części hrabstwa Berkshire jest jakieś dobre łowisko ryb?

Twarz zacnego trenera dobitnie wyraziła przekonanie, że jeszcze jeden wariat wtargnął w jego i tak już niełatwe życie.

— Słyszałem — bąknął — że w potoku, nad którym stoi młyn, są pstrągi, a w jeziorze Hall są jakoby szczupaki.

— To wystarczy. Doktor Watson i ja zaliczamy się do zamiłowanych wędkarzy. Może pan utrzymać z nami łączność w oberży „Pod Zielonym Smokiem”. Powinniśmy tam być dzisiaj wieczorem. Nie potrzebuję chyba dodawać, że nie chcemy się z panem widywać, ale może nam pan zostawić wiadomość na piśmie, a w razie czego potrafię pana odnaleźć. Gdy będziemy wiedzieć coś więcej o tej sprawie, dam panu znać.

I tak w pogodny majowy wieczór Sherlock Holmes i ja zasiedliśmy w przedziale pierwszej klasy pociągu zdążającego ku małej („przystanek na żądanie”) stacyjce Shoscombe. W siatce bagażowej nad naszymi głowami leżał ogromny pęk wędek, nakrętek i koszyków. Po przybyciu na miejsce i krótkiej podróży wynajętym wózkiem dotarliśmy do staroświeckiej oberży, której właściciel Josiah Barnes doceniający, jak się okazało, należycie urok wędkarskiego sportu, chętnie się zainteresował naszymi planami oczyszczania z ryb wszystkich okolicznych wód.

— Czy to prawda, że w jeziorze Hall jest sporo szczupaków?

— pytał Holmes.

Twarz oberżysty spochmurniała.

— Nic z tego — odrzekł — może pan sam łatwo znaleźć się w wodzie.

— A to dlaczego?

— Sir Robert okropnie się boi szpiegów nasyłanych przez inne stajnie wyścigowe oraz przez bookmacherów. Jeśli panowie, dwie obce osoby, zjawią się tak blisko pola, na którym on trenuje swoje konie, sir Robert rzuci się na panów niechybnie, a rękę ma ciężką.

— Słyszałem, że jego koń staje do tegorocznego derby?

— Tak, doskonały trzylatek, wszyscy tutaj gramy na niego, a do tego dochodzi ciężka forsa, jaką sir Robert na niego postawił. Ale, ale... — i spojrzał na nas przenikliwie — czy panowie nie są od wyścigów?

— Nie, nie, po prostu dwaj Londyńczycy spragnieni dobrego wiejskiego powietrza.

— Tego tu panom nie zabraknie. Ale proszę pamiętać o tym, co mówiłem o sir Robercie. On należy do takich, co najpierw walą w łeb, a potem dopiero pytają, o co chodzi. Trzymajcie się panowie, z dala od parku.

— Na pewno zastosujemy się do pańskich wskazówek. Ale z innej beczki, ma pan wyjątkowo pięknego spaniela, widzieliśmy go skomlącego w sieni.

— To prawda, wspaniałe psisko. Prawdziwy Shoscombe, czystej rasy. Nie ma lepszej w Anglii.

— Sam należę do miłośników psów — mówił Holmes — jeśli wolno zapytać, co by kosztował taki pies, z rodowodem?

— Więcej, niż mógłbym zapłacić. Ofiarował mi go sam sir Robert. Dlatego muszę go trzymać uwiązane. Poleciałby zaraz do domu, gdybym go puścił wolno.

— Rozdają nam już jakie takie karty — rzekł Holmes, gdy pozostaliśmy sami. — Niełatwo się zapowiada ta rozgrywka, ale za dzień lub dwa powinniśmy osiągnąć pewne rezultaty. Sir Robert jest jeszcze w Londynie. Moglibyśmy więc dziś

wieczorem odwiedzić jego sanktuarium bez narażania się na rękoczyn. Chciałbym uzyskać potwierdzenie paru elementów.

— Czy masz już jakąś hipotezę?

— Tyle tylko, że mniej więcej tydzień temu stało się coś, co bardzo zasadniczo wpłynęło na tok życia mieszkańców Shoscombe. Co to może być? Możemy tylko się domyślać, sądząc po skutkach. Te ostatnie wydają się być bardzo złożone i różnorodne, ale to powinno działać na naszą korzyść. Do beznadziejnie trudnych należą tylko sprawy banalne.

— Rozpatrzmy ustalone już przez nas dane. Brat przestaje odwiedzać ciężko chorą siostrę, do której był nie bez powodów bardzo przywiązany. Oddaje jej ulubionego psa. Jej psa! Czy ci to nic nie sugeruje?

— Nic poza tym, że brat ma bardzo podły charakter.

— Hm... możliwe, ale istnieje inna możliwość. A teraz przejdźmy do dalszej analizy sytuacji od czasu kłótni, o ile kłótnia nastąpiła pomiędzy rodzeństwem. Stara lady Beatrice nie opuszcza swego pokoju, zmienia swe od dawna ustalone obyczaje, nikt jej nie widuje, z wyjątkiem gdy wyjeżdża powozem na spacer ze swoją panną służącą. Nie zatrzymuje się przy stajniach, gdzie zwykła odwiedzać swego ulubionego konia, i jakoby zaczyna zaglądać na wielką skalę do kieliszka. To wszystko stanowi jedną całość.

— Z wyjątkiem tego, co się działo w krypcie.

— To jest inny tok rozumowania. Są bowiem dwa i nie należy ich łączyć ze sobą. Pierwszy tok dotyczy lady Beatrice i ma cokolwiek złowieszczy posmak.

— Nic z tego nie rozumiem.

— Rozpatrzmy drugi tok rozumowania, dotyczący sir Roberta. Zależy mu w najwyższym stopniu na wygraniu derby.

Lichwiarze trzymają go za gardło. Jego stajnia wyścigowa może lada chwila stać się łupem wierzycieli. Sir Robert jest człowiekiem śmiałym, znajdującym się w rozpaczliwym położeniu. Wszystkie jego, dochody pochodzą z majątku siostry. Służąca tej siostry jest posłusznym narzędziem w jego ręku. Jak dotychczas jesteśmy na mocnym gruncie. Zgadzasz się?

— A krypta?

— Otóż właśnie!. Ta krypta! Przypuśćmy, jest to tylko makabryczna hipoteza wysunięta dla sprawdzenia wartości tego toku rozumowania, że sir Robert jest zabójcą swej siostry.

— To wykluczone!

— Być może. Sir Robert pochodzi z dobrej rodziny. Ale wśród orłów zdarza się wrona żyjąca padliną. Zastanówmy się więc nad tą hipotezą. Sir Robert nie może uciec z kraju przed zrealizowaniem swej fortuny, co nastąpi tylko w wypadku wygrania derby przez jego konia, Shoscombe Prince'a. A zatem sir Robert musi utrzymać pozory, że nic się nie zmieniło. W tym celu winien ukryć ciało swej ofiary oraz znaleźć osobę, która by ją zastąpiła, grała jej rolę, przybierając jej postać. Mając współnika w osobie służącej, sir Robert mógłby pokusić się o to. Zwłoki lady Beatrice mogłyby być przeniesione do krypty, miejsca bardzo rzadko odwiedzanego, a następnie po kryjomu spalone w palenisku pod kotłem centralnego ogrzewania, przy czym pozostał ślad tej czynności, Co powiesz na to?

— To wszystko jest możliwe, o ile przyjmiemy twoje pierwotne monstrualne założenie.

— Chciałbym spróbować jutro przeprowadzić małe doświadczenie, które mogłoby rzucić nieco światła na tę sprawę. Tymczasem, jeśli chcemy się utrzymać w naszej roli, należałoby zaprosić naszego gospodarza na szklanekę jego własnego wina, pogadać z nim o węgorzach i jelcach i w ten sposób pozyskać jego zaufanie i sympatię. A przy tej sposobności może się nam uda zebrać nieco lokalnych plotek. Nazajutrz rano Holmes odkrył, że przyjechaliśmy bez przynęt, co zwolniło nas od połowu ryb w tym dniu. Około jedenastej wyszliśmy na przechadzkę i mój przyjaciel uzyskał zgodę naszego gospodarza na zabranie z nami czarnego spaniela.

— To tutaj — rzekł Holmes, gdy doszliśmy do wysokiej bramy parku, wspartej o dwie kolumny ozdobione heraldycznymi gryfami. — Barnes powiada, że około południa stara lady wyjeżdża tędy na spacer i że powóz musi zwolnić na czas potrzebny do otwarcia bramy. Oto twoje zadanie: w chwili, gdy powóz znajdzie się w bramie i zanim zwiększy szybkość, masz zadać stangretowi jakiegokolwiek pytanie i w ten sposób go na chwilę zatrzymać. Na mnie nie zwracaj uwagi. Stanę za tą kępą drzew i postaram się zobaczyć, co jest do zobaczenia. Nie czekaliśmy długo. Po kwadransie mniej więcej nadjechał aleją wielki, otwarty, żółty wolant zaprzężony w dwa wspaniałe siwe konie. Holmes wraz z psem przyczaili się w krzakach. Ja zaś stanąłem, wymachując beztrosko laseczką, pośrodku drogi. Z domku przy bramie wybiegł odźwierny i otworzył wrota. Konie przeszły w stępa i mogłem się dobrze przypatrzeć osobom w powozie. Po lewej stronie siedziała bardzo rumiana, młoda kobieta o jasnobłond włosach i bezczelnością nacechowanych oczach. Na prawo od niej znajdowała się osoba w starszym wieku, o przygarbionych plecach. Luźny zwój szalów otaczał jej twarz i ramiona, jak

przystało na inwalidkę. Gdy konie ruszyły szosą, podniosłem ręką rozkazującym gestem. Stangret wstrzymał konie.

Zapytałem go, czy sir Robert jest w Shoscombe. W tej samej chwili Holmes wyszedł spomiędzy krzaków i puścił spaniela. Z radosnym szczekaniem podbiegł do powozu i skoczył na stopień, lecz zaraz potem jego powitalny nastrój zmienił się we wściekłość i pochwycił zębami zwisającą nad nim czarną spódnicę.

— Jedź dalej! Jedź dalej! — rozległ się chrapliwy głos.

Stangret zaciął konie i pozostawił nas stojących na drodze..

— O to właśnie mi chodziło — rzekł Holmes, zakładając smyczę na kark podnieconego spaniela. — On myślał, że to jego pani, ale znalazł w powozie obcą osobę. Psy się nie mylą.

— Ależ to był głos męski! — wykrzyknąłem.

— Właśnie! Wyciągnęliśmy szczęśliwie następną kartę, lecz musimy nadal grać bardzo ostrożnie.

Mój towarzysz zdawał się nie mieć żadnych dalszych planów na ten dzień, więc wykorzystaliśmy nasz sprzęt rybacki nad ruczajem, opodal młyna, gdzie udało nam się złowić parę pstrągów, co podniosło walor kolacji. Dopiero po tym posiłku Holmes nabrał ochoty do dalszego działania i znaleźliśmy się ponownie na drodze wiodącej do bramy parku. Czekala nas tam wysoka, ciemna postać. Okazał się nią nasz londyński znajomy, trener Mason.

— Dobry wieczór, panie Holmes — rzekł. — Otrzymałem pańską kartkę. Sir Robert jeszcze nie powrócił, ale słyszałem, że się go spodziewają dzisiaj późnym wieczorem.

— Jak daleko jest ta krypta?

— Przeszło ćwierć mili.

— Możemy więc chyba zignorować sir Roberta.

— Ja nie mogę sobie na to pozwolić. Natychmiast po powrocie wezwie mnie, aby się dowiedzieć jak się miewa Shoscombe Prince.

— Rozumiem. W takim razie musimy się obejść bez pana. Proszę nam tylko wskazać, gdzie jest krypta, a potem nas tam pozostawić.

Noc była bardzo ciemna, lecz Mason prowadził nas śmiało przez łąki, aż zarysowały się przed nami czarne kontury jakiegoś budynku. Była to owa stara kaplica.

Weszliśmy do środka przez ruinę dawnej kruchty i nasz przewodnik potykając się wśród gruzów, dotarł do rogu budynku, skąd strome schody prowadziły w dół do krypty. Mason potarł zapałkę o mur i oświetlił to posępne, tchnące smrodliwą stęchlizną pomieszczenie o zrytych zębem czasu ścianach z grubo ciosanego kamienia, wzdłuż których piętrzyły się ołowiane i kamienne trumny, Przy jednej ze ścian stos trumien sięgał ginącego w mroku ponad naszymi głowami sklepienia. Holmes zapalił swoją latarkę i tunel ostrego, żółtego światła przebił przejmujące grozą ciemności. Padający z latarki promień wywoływał odbłysek przytwierdzonych do trumien metalowych tabliczek, z których niejedną zdobił uwieńczony koroną gryf, klejnot starej rodziny, dbałej o ziemski splendor nawet u wrót śmierci.

— Wspomniał pan o jakichś kościach, panie Mason — rzekł Holmes — mógłby mi je pan pokazać przed odejściem?

— Są tam w rogu. — Trener przeszedł na drugą stronę kaplicy i w chwili gdy Holmes skierował tam światło latarki, stanął jak wryty ze zdumienia. — Nie ma ich — rzekł.

— Wcale to mnie nie dziwi — odpowiedział z cichym chichotem Holmes. — Wydaje mi się, że ich popioły można by

znaleźć w tym samym palenisku pod kotłem, gdzie ich część już przedtem została spalona.

— Ależ po co ktokolwiek miałby palić kości osoby zmarłej tysiąc lat temu?

— To właśnie chcemy wyjaśnić. Może to wymagać dłuższych poszukiwań, więc nie będę pana dłużej zatrzymywać. Powinniśmy rozwiązać tę zagadkę przed świtem.

Po odejściu trenera Holmes zabrał się do bardzo starannego oglądania grobów, zaczynając od najstarszego, na środku, pochodzącego prawdopodobnie z epoki saksońskiej, poprzez długi szereg normandzkich aż do sir Williama i sir Denisa Falderów zmarłych w osiemnastym wieku. Po przeszło godzinie Holmes dotarł do ołowianej trumny stojącej w pozycji odwróconej przy wejściu do krypty. Nagle usłyszałem jego charakterystyczny cichy okrzyk zadowolenia i widząc jego szybkie i zdecydowane ruchy zdałem sobie sprawę, że znalazł właśnie to, czego szukał. Holmes zbadał uważnie, posługując się szkłem powiększającym, krawędzie ciężkiej pokrywy, po czym wydobył z kieszeni dłuto, wbił je w szparę i podważył wieko, które zdawało się być przytwierdzone tylko za pomocą kilku metalowych klamer. Wieko ustąpiło z głuchym trzaskiem, lecz zaledwie zdołaliśmy je podnieść i rzucić okiem na zawartość trumny, zaszła nieprzewidziana przeszkoda. Ktoś chodził po kaplicy nad nami. Sądząc po szybkich, stanowczych krokach, ten ktoś przybył w określonym celu i dobrze znał miejsce, po którym się poruszał. Na schodach zabłyśło światło i po chwili niosący je mężczyzna stanął w gotyckim obramowaniu portalu wiodącego do krypty. Przeróżająca to była postać, zarówno pod względem rozmiarów, jak każdym innym. Wielka latarnia stojenna, którą trzymał przed sobą, oświetlała groźną twarz o olbrzymich

wąsach i nabrzmiątych wściekłością oczach, które przebiegłszy badawczo po wszystkich zakątkach krypty, zatrzymały się złowrogo na moim towarzyszu i na mnie.

— Do wszystkich diabłów! — wrzasnął, — A wy kto jesteście? I co tu u mnie robicie? — a na brak odpowiedzi ze strony Holmesa postąpił o parę kroków naprzód i podniósł trzymaną w ręku ciężką, sękatą laskę, — Kto wy? — ryknął ponownie i wykonał znaczący ruch laską.

Holmes zamiast się cofnąć, wyszedł mu naprzeciw.

— Sir Robercie, ja pana z kolei o coś zapytam. Co to jest? I dlaczego się tutaj znajduje?

Co mówiąc odwrócił się i oderwał pokrywę znajdującą się za nim trumny. W blasku latarni ujrzałem owinięte w prześcieradło od stóp do głowy zwłoki o okropnych, godnych czarownicy rysach — podbródek i nos schodziły się prawie — i przyćmionych, szklistych oczach wyglądających ze zbielejącej, rozkładającej się już twarzy.

Baronet zachwiał się, cofnął o parę kroków i oparł o kamienny sarkofag.

— Jak to odkryliście? — zawołał i po chwili powrócił do poprzedniego agresywnego tonu: — Co was to obchodzi?

— Nazywam się Sherlock Holmes — odrzekł mój towarzysz.

— Słyszał pan, już być może, to nazwisko. W każdym bądź razie obchodzi to mnie tyle samo co każdego dobrego obywatela, to znaczy żyjącego w zgodzie z prawem. Zdaje mi się, że winien pan z niejednego zdać sprawę.

Sir Robert spojrział drapieźnie raz jeszcze, lecz zimny, opanowany głos i spokojna postawa Holmesa zrobiły swoje.

— Na Boga, panie Holmes, nie zrobiłem nic złego. Przyznaję, że pozory przemawiają przeciwko mnie, ale nie mogłem postąpić inaczej.

— Chętnie bym podzielił tę pańską opinię, lecz wyjaśnienia należy złożyć policji.

Sir Robert wzruszył szerokimi ramionami.

— Niech i tak będzie. Proszę pójść ze mną do domu, a sam pan osądzi, jak sprawa stoi.

Po piętnastu minutach znaleźliśmy się w pokoju, który sądząc po rzędach lśniących luf ustawionych w oszklonych szafach, uznałem za pokój myśliwski. Umeblowanie było dostatnie i sir Robert pozostawił nas tam jakiś czas samych. Powrócił w towarzystwie dwóch osób: rumianej młodej kobiety, którą widzieliśmy w powozie, i małego wzrostu raczej odrażającego, przypominającego szczura, mężczyzny. Oboje zdradzali najgłębsze zdumienie, co wskazywało, że sir Robert nie zdążył jeszcze opowiedzieć im, co zaszło.

— To są — sir Robert wskazał ich niedbałym ruchem ręki — pan i pani Norlett. Pani Norlett była przez parę lat, pod swym panieńskim nazwiskiem Evans, służącą i powiernicą mojej siostry. Przyprowadziłem ich tutaj, gdyż sądzę, że najlepszym dla mnie wyjściem jest wyjaśnić panu bez ogródek sytuację, a tylko tych dwoje na tym świecie może potwierdzić moją prawdomówność.

— Czy to potrzebne? — zawołała kobieta. — Czy pan sobie zdaje sprawę z tego, co pan robi?

— Co do mnie, nie przyjmuję żadnej odpowiedzialności — powiedział jej mąż...

Sir Robert spojrzał na niego z pogardą.

— Pełną odpowiedzialność biorę na siebie — rzekł — a teraz, panie Holmes, proszę wysłuchać suchego zestawienia faktów.

— Orientuje się pan już nieźle w moich sprawach, bo inaczej nie znalazłbym pana tam, gdzie się spotkaliśmy. Wie, pan zatem, nie wątpię, że wystawiam fuksa na derby i że wszystko

zależy od jego sukcesu. Jeśli wygram, wszystko jest, proste, jeśli przegram... wolę nie myśleć, co się stanie.

— Rozumiem — odpowiedział Holmes.

— Pod względem finansowym jestem całkowicie zależny od lady Beatrice, mojej siostry. Lecz jest rzeczą powszechnie wiadomą, że przysługuje jej tylko dożywocie na tym majątku. Co do mnie, jestem bez reszty w rękach lichwiarzy.

Wiedziałem zawsze, że w wypadku śmierci mojej siostry moi wierzyciele rzucą się jak sępy na wszystko, co posiadam.

Wszystko by poszło na licytację, moje stajnie, moje konie...

Wszystko! Otóż, panie Holmes, moja siostra zmarła tydzień temu.

— I nikomu pan o tym nie wspominał?

— Jakże mogłem coś podobnego uczynić? Równałoby się to dla mnie absolutnej ruinie. Gdybym natomiast zdołał zataić ten fakt przez trzy tygodnie, wszystko mogłoby się dobrze zakończyć. Mąż służącej mojej siostry jest aktorem.

Wpadliśmy więc na pomysł, to jest ja wpadłem na pomysł, że mógłby on przez ten krótki okres czasu występować w roli mojej zmarłej siostry. Wystarczyłoby w związku z tym pokazywać się raz dziennie w powozie, gdyż nikt poza służbą nie wchodził do pokoju mojej siostry. Nie było to więc trudne przedsięwzięcie. Moja siostra zmarła na wodną puchlinę, która trapiła ją od dawna.

— O tym wypowiedzą się władze sądowe.

— Jej lekarz może poświadczyć, że od paru miesięcy wszystkie symptomy wskazywały na zbliżający się koniec.

— Cóż więc pan uczynił?

— Ciało nie mogło pozostać na miejscu. Pierwszej nocy Norlett i ja zanieśliśmy je do małego murowanego budynku, w którym mieści się stara studnia, obecnie nigdy nie używana.

Pobiegł jednak za nami ulubiony spaniel mojej siostry i skowyczał nieustannie pod drzwiami, więc musiałem znaleźć lepszą kryjówkę. Pozbyłem się psa, po czym zanieśliśmy ciało do krypty pod kaplicą. W moim przekonaniu, panie Holmes, nie naruszyłem w niczym należnego zmarłym szacunku.

— Moim zdaniem, nic nie może usprawiedliwić pańskiego postępowania.

Baronet potrząsnął niecierpliwie głową.

— Łatwo jest prawić morały. Może pan byłby innego zdania, gdyby się pan znalazł w moim położeniu. Nie można biernie się pogodzić, bez szukania jakiegoś ratunku, z przekreśleniem wszystkich naszych planów i nadziei. Za godne mojej siostry chwilowe miejsce spoczynku uznałem trumnę jednego z przodków jej męża leżącego tam w krypcie, a więc w poświęconej ziemi. Otworzyliśmy trumnę, wyjęliśmy jej zawartość i włożyliśmy ciało mojej siostry, tak jak pan je sam widział. Wydobytych z trumny szczątków nie mogliśmy pozostawić na posadzce w krypcie, więc zabraliśmy je stamtąd i Norlett spalił je w nocy w palenisku pod kotłem centralnego ogrzewania. To wszystko, co mam do powiedzenia, panie Holmes, ale nie wiem doprawdy, jak pan potrafił mnie do tego wyznania skłonić.

Holmes siedział jakiś czas pogrążony w myślach.

— W pańskiej relacji — rzekł wreszcie — jest jedna niekonsekwencja. Pańskie zakłady w tym wyścigu, a więc pańskie nadzieje na przyszłość, zachowałyby swą wartość nawet po objęciu przez wierzycieli całego pańskiego majątku.

— Shoscombe Prince zostałby uznany za część majątku, a nic by ich nie obchodziło czy i wiele postawiłem na niego u bookmacherów. Najprawdopodobniej wycofali go z listy koni biorących udział w derby. Moim głównym wierzycielem

jest, niestety, mój największy wróg, skończony łotr, Sam Brewer, którego, musiałem kiedyś tego poczęstować pejcem na torze w Newmarket. Czy pan sądzi, że on mógłby chcieć mnie ratować?

— Cała ta sprawa — rzekł powstając Holmes — musi być oczywiście przedstawiona policji. Moim obowiązkiem było ujawnić fakty i na tym poprzestanę. Nie do mnie również należy moralna ocena pańskiego postępowania. Dochodzi już północ — Holmes zwrócił się do mnie — i czas już, abyśmy powrócili do naszej skromnej siedziby.

Wiadomo już dzisiaj powszechnie, że to niesamowite wydarzenie zakończyło się dla sir Roberta lepiej, niż na to zasługiwał. Shoscombe Prince wygrał derby, a jego właściciel zgarnął osiemdziesiąt tysięcy funtów wypłaconych mu przez bookmacherów. Wierzycciele zgłosili swe roszczenia dopiero po wyścigu i zostali całkowicie spłaceni, a sir Robertowi pozostała jeszcze suma wystarczająca na nowy, przyzwoity start życiowy. Zarówno policja, jak i sędzia śledczy, okazali wyrozumiałość i ograniczyli się do wymierzenia drobnej grzywny z tytułu zawinionej przez sir Roberta zwłoki w zgłoszeniu zgonu jego siostry. Szczęśliwy właściciel Shoscombe Prince'a wyszedł więc obronną ręką z opisanego powyżej epizodu i wszystko wydaje się wskazywać, że awanturnicza młodość nie przeszkodzi mu w osiągnięciu sędziwego wieku w spokoju i pomyślności.